

POLSKA WALCZĄCA

FIGHTING POLAND ■ POLISH WEEKLY ■ LA POLOGNE EN LUTTE

Wychodzi co tydzień

Londyn, dnia 9 lipca 1949 r.

Rok XI. Nr 27

Jestem kombatantem

Zjednoczenie przez demokrację

Mielimy już możność na tych łamach stwierdzić, że dopóki nasza emigracja będzie toczona od wewnątrz przez złośliwy nowotwór, jakim jest „kryzys”, dopóty nie będziemy mogli działać skutecznie na rzecz Polski. Zgodziliśmy się również, że na SPK specjalnie ciąży obowiązek dopomożenia w zwalczaniu tej choroby.

Głównym jej powodem jest niedorozwój demokracji w naszym społeczeństwie.

Przyczyny historyczne tego stanu są ogólnie znane: więcej mieliśmy okazji walczyć z wrogami świata demokratycznego, niż rozwijać i pielęgnować u siebie cnoty demokratyczne. Stąd każdy niemal Polak deklaruje się żarliwie jako demokratę, ale nie każdy uświadamia sobie: do czego taka deklaracja zobowiązuje. Powoduje to zamieszanie pojęć, nieraz tak zupełne, że nie rzadkością są wśród nas rodacy, którzy np. w najsluszniejszym oburzeniu piętnują komedię „demokracji” bierutowej w Kraju, a równocześnie, na własnym podwórku, stosują metody w pokrewnym duchu, nazywając to „właściwie pojętą demokracją”.

Nie chodzi nam o obarczanie kogokolwiek winą: ważne jest tylko to, aby wszyscy zrozumieli, że:

— skoro postanowiliśmy działać na rzecz Polski po tej stronie żelaznej kurtyny, musimy przyswoić i szczerze stosować prawdziwie demokratyczne pojęcia i metody, chociażby po to, aby w rozgrywce o przyszłość nie przelicytowaliśmy nas w tym Niemcy;

— istotą demokracji jest: równość wszystkich obywateli we wszystkich dziedzinach życia; władza wyłaniana przez ogół obywateli na podstawie prawa ustanowionego przez ten ogół i nieustannie podlegająca kontroli; szacunek do każdej jednostki jako aktualnego lub potencjalnego źródła władzy; wolność poglądów i ich wyrażania, tolerancja i dążność do konstruktywnych kompromisów;

— wykonywanie czynności demokratycznych przez ogół społeczeństwa nie może posiadać dłuższych przerw, ponieważ stan wytworzony nawet w najbardziej demokratyczny sposób, jeżeli wypadnie spod kontroli bieżącego życia, stanie się niedemokratyczny, stąd mandat parlamentarny i in. nie przekraczają przeważnie 4 lat, (w SPK najwyżej 3 lata);

— w wypadku zachowywania niedemokratycznego prawa pisanego, umożliwia się jego stosowanie przez wprowadzanie praktyki demokratycznej i uznawanie tworzonych przez życie praw zwyczajowych, które mają większą wagę, niż niedemokratyczne prawo pisane;

— obywatele muszą czuć, aby nikt nie ograniczał ich prawa do współrzędów, kontroli i wywierania wpływów; biorąc czynny udział w życiu politycznym, grupują się oni w stronnictwach, bez których, jako zorganizowanej dobrowolnej opinii publicznej, ustrój demokratyczny nie może istnieć; zwalczanie stronnictwa jest zwalczaniem demokracji; pewna ilość „niezależnych” lub „bezpartyjnych” występuje zawsze w ustrójach demokratycznych, ale gloryfikacja bezpartyjności wynika najczęściej z ciemnoty lub jest objawem akcji anty-demokratycznej.

Często spotyka się w polskiej prasie emigracyjnej ubolewania, jak wielkie zapanowało na świecie pomieszanie pojęć. Przy tym wydaje się nam, że jedynie tylko my — Polacy patrzymy trzeźwo i postępujemy konsekwentnie, zgodnie z naszymi poglądami i zasadami. Nie bardziej fałszywego! Pomieszanie pojęć panuje wśród nas w równym stopniu i również jest wynikiem naginania zasad do celów oportunistycznych. Jesteśmy bardziej nie-szczęśliwi — to prawda, ale wcale nie jesteśmy lepsi od świata zachodniego, któremu lubimy tyle przypisywać obłudy i kręta. Powinniśmy jednak z racji naszego skrajnie trudnego położenia być rzeczywiście lepsi pod każdym względem.

Jak z tych rozważań można wnioskować, przyczyny naszego „kryzysu” i rozbicia na emigracji są skomplikowane i nie wydaje się, aby można było osiągnąć jakieś pozytywne rozwiązanie bez dłuższego okresu usilnej pracy wychowawczej szerokich mas obywateli. Nie spodziewamy się wiele od dzisiejszych przewodców. Są to przeważnie ludzie należący do epoki odchodzącej w przeszłość. Póki stoją na czele, musimy im pomagać w rzeczach szlusznych, ale także i kontrolować w ramach naszych uprawnień w duchu demokratycznym i żądać, by znaleźli sposoby osiągnięcia porozumienia i jedności.

Kombatancki z SPK, ludzie przeróż-

nych poglądów, złączeni i współpracujący w ramach wielkiej organizacji, powinni nie tylko strzec SPK, aby ogólnie-emigracyjny „kryzys” nie dotknął szeregów kombatanckich, ale nadto powinni dołożyć największych starań, aby kombatanckiego ducha współpracy, koleżeństwa i wzajemnego zrozumienia zaszczerpić we wszystkich środowiskach i organizacjach.

Ala największe pole działania SPK dla pomocy w akcji jednoczenia — to dziedzina wychowania obywatelskiego w duchu czystej demokracji.

Jest to rzeczywiście pocieszające i godne zastanowienia, że organizacja b. żołnierzy podjęła to zadanie i po okresie długiej i żmudnej pracy, ścierania się różnych wpływów, przezwyciężania wielkich trudności — doszła do tego, że obecnie na emigracji wojennej stanowi chyba największe zorganizowane środowisko, w którym życie demokratyczne rozwija się i promieniuje na zewnątrz. SPK nie jest jeszcze ideałem, ale już w obecnym stanie służy dowodem, że nawet w tak trudnych warunkach można uprawiać na wielką skalę praktykę samorządzenia demokratycznego i wychowywać się na dobrych obywateli.

Właśnie ta działalność, propagowanie tych idei, żądania, aby były szanowane jako wola szerokich mas i stosowane w odniesieniu do spraw najwyższych, politycznych, może doprowadzić do usunięcia „kryzysu”.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

Dyskutujmy o pracy w SPK

Jak zakładać Koło?

Każdy z kolegów przystępujących do zakładania Koła SPK musi zrobić najpierw jakiś plan działania, zależnie od środowiska i warunków. Zaniedbanie tego bywa często powodem, że nie wszystkie Koła wykazują żywotność, nie wszystkie stoją na wysokości zadania; niektóre nawet zamierają i likwidują się, a te, które utrzymały się, nie zawsze wykazują należyty działalność.

W czym należy doszukiwać się winy? Moim zdaniem, jak na wstępie stwierdziłem, leży ona w tym, że wielu kolegów chętnych, lecz niedoświadczonych, przystępuje do pracy bez należytego opracowanego planu na dłuższą metę, bez trzymania się jakichś stałych metod działania. Nie uwzględniają oni pewnych okoliczności, nie przewidują przeszkód, które najpierw należy usunąć, nie czynią jednym słowem „rozpoznania w terenie”.

Z drugiej strony musimy przyznać, że jeszcze, niestety, nie pomyśleliśmy o tym, by nareszcie ustalić pewne wspólne metody pracy kombatanckiej w terenie. „Polska Walcząca”, jako organ SPK, podaje często wiadomości z życia Kół, które opisują, co zrobiły, ale nigdy nie było wzmianki JAK zrobiły to i owo?...

Dlatego uważam, że będzie rzeczą pożyteczną dla ogółu dzielenie się nawzajem w przyszłości wiadomościami w zakresie dotychczas wypróbowanych sposobów i metod w pracy Kół SPK.

Na podstawie mego skromnego doświadczenia w tym kierunku, mogę stwierdzić co następuje:

Założenie nowego Koła SPK musi poprzedzić rozpoznanie środowiska i możliwości organizacyjnych pod każdym względem i zależnie od tego powinien być opracowany plan działania. Nie należy śpieszyć się z założeniem nowego Koła SPK, dopóki nie ma pewności, że nie tylko takie Koło da się założyć, ale i rozwinąć w nim pracę. (Ilość chętnych i zdolnych ludzi do pracy, możliwości urządzenia lokalu, założenie sklepika itp.)

W związku z powyższym należy stwierdzić, że nie będzie większego pożytku, jeżeli przyjeżdżny instruktor założy Koło SPK, — o co nieraz inicjatorzy proszą Zarząd Oddziału, ponieważ taki instruktor musi przebywać stale w miejscu, gdzie ma powstać nowe Koło.

Dlatego nie instruktor, ale miejscowy działacz kombatancki powinien po zbadaniu możliwości zapewnić sobie najpierw współpracę choćby kilku ludzi i stworzyć Komitet Organizacyjny, którego zadaniem będzie przygotować walne zebranie.

Ważne jest, by taki działacz najpierw coś zrobił prywatnie dla ludzi, by dać się poznać, by zdobyć zaufanie. Faktem bowiem jest, że ludzie nie pójdą za byle kim, kogo nie znają; ograniczanie się do samej propagandy niewiele tu pomoże.

Należy unikać wygłaszania szumnych haseł a szczególnie strzec się

Fantazja — rzeczywistością

NIE TRZEBA CZEKAĆ DO ROKU 1984

Głośny pisarz angielski, Orwell, znany nam z tłumaczonej na polski świetnej powieści satyrycznej „Folwark Zwierzęcy”, opowiadającej dzieje rewolucji zwierzęcej pod przewodnictwem dwu świń — Napoleona, do złudzenia przypominającej Stalina, i Chyżego — Trockiego, napisał obecnie nową powieść, która z miejsca uzyskała ogromny sukces w świecie anglosaskim.

Nosi ona nazwę „1984” i stanowi ponurą wizję życia w totalitarnej Anglii za lat 35. Właściwie nie w Anglii, bo Anglii już nie ma. Stanowi ona część nadpaństwa Oceanii, jednego z trzech super-państw powstałych w świecie po wojnie atomowej 1950 roku.

Wizja jest straszliwa. Każdy obywatel musi wielbić dyktatora „wielkiego brata”, którego nikt nie widział, ale który jest wszechobecny. „Policja Myśli” pilnuje prawomyślności obywateli i dzięki dwustronnej telewizji kontroluje zachowanie się jednostki nawet w zaciszu domowym. Teleekrany „Ministerstwa Miłości” znajdują się w każdym mieszkaniu, pozwalając obserwować każdy ruch i każde słowo. Nie wolno kochać. Słowa zatraciły swój sens i zostały odwrócone. Każdej chwili życia obywatela Oceanii towarzyszą naczelnne hasła, które głoszą: „Wojna to pokój”; „Wolność to niewolnictwo”; „Ignorancja to siła”.

Miedzy Oceanią, która obejmuje północną i południową Amerykę, Wyspy Brytyjskie, południową Afrykę i

Australię, a Eurazją i Wschodnią Azją toczy się ustawiczna wojna. Wszystkie trzy państwa mają bombę atomową, ale jej nie używają. Żadne bowiem nie chce zakończyć wojny: ciągła wojna jest dla nich koniecznością gospodarczą i polityczną. Służą ona dyktatorom do trzymania swych krajów w stanie wyjątkowym i wykazywania obywatelom, że konieczna jest dyktatorska kontrola nad wszystkim, nie wyłączając najtajniejszych myśli...

WALKA NA DWU FRONTACH

Jeśli pominąć problem super-państw i toczące się między nimi wojny, a uwzględnić jedynie wstrząsającą wizję życia w państwie totalitarnym, to niestety stwierdzić trzeba, że za żelazną kurtyną szybko osiąga ono charakter opisany przez Orwella. Jeszcze tajna policja nie umie czytać w myślach obywateli, jeszcze technika tyranii nie jest tak udoskonalona, ale kierunek rozwoju sytuacji jest wyraźnie wyznaczony. I przy dzisiejszym tempie wydarzeń nie ma powodu przypuszczać — niestety! — że dopiero w 1984 zrealizowana zostanie, wprawdzie nie w „Oceanii”, lecz w „Eurazji” ta ponura wizja.

Ostatnie dni i tygodnie wykazały ponad wszelką wątpliwość, że walka z wszelką pozostałą jeszcze swobodą myśli i wiary weszła w nową, szczególnie ostrą fazę. Toczy się ona jednocześnie na dwu frontach, z jednej strony przeciw Kościołowi, z drugiej przeciw t.zw. nacjonalistycznemu odchyleńcu wśród samych komunistów. Nie może nie być bardziej charakterystyczne niż równoległość tej walki. Okazuje się, że jeszcze zanim zlikwidowana została ostatnia wielka zorganizowana siła anty-komunistyczna, już trzeba wypalać rozpalonym żelazem zarazę we własnym obozie.

JAK ZA CZASÓW PIERWSZYCH CHRZEŚCIJAN

Walka z Kościołem, która w chwili obecnej osiągnęła największe nasilenie w Czechosłowacji, ale która toczy się również w Polsce i na Węgrzech, nie jest bynajmniej jedynie walką o pozabawienie Kościoła wszelkiego wpływu na politykę; staje się ona z każdym dniem bardziej walką z samą religią, walką z Bogiem. Nie bez powodu arcybiskup Beran wyzwa wiernych, by przygotowali się na męczeństwo, nie bez powodu wytwarza się za żelazną kurtyną atmosfera przypominająca czasy pierwszych chrześcijan.

Sam Arcybiskup Beran uczynił wszystko aby współpracować z reżimem; kazał zaledwie rok temu intonować „Te Deum” z okazji objęcia

W następnym nrze rozpoczynamy druk nadzwyczaj interesujących szkiców literackich p. t.

„Pisarze, których znałem”

Mariana Czuchnowskiego

W pierwszym szkicu tego cyklu autor zapozna czytelników z WŁADYSŁAWEM ORKANEM. W następnych: K. PRZERWA - TETMAJER, E. ZEGADŁOWICZ, K. IRZYKOWSKI, J. CZECHOWICZ.

urzędu prezydenta przez Gottwalda. Reżim nie jest w stanie niczego mu zarzucić; w ciągu długich lat spędzonych w Dachau przyjaźnił się z wieloma komunistami. Ale chodzi też o co innego; chodzi o to, że komunizm nie znosi żadnej innej religii, bo sam się za religię uważa. I dlatego musi z nią walczyć, tak jak walczył w Rosji.

Jeśli chodzi o różnych naśladowców Tity, tepionych bezlitośnie w poszczególnych „demokracjach ludowych”, a więc o Albańczyka Xoxe, który właśnie został powieszony, czy wszechpotężnego jeszcze niedawno na Węgrzech Rajka, aresztowanego pod zarzutem „szpiegostwa” i którego śmierci domagają się masowo organizowane wiece ludności, to ich zbrodnia polega na tym, że wprawdzie wyznają oni nową religię komunistyczną, ale nie chcą uznać nieomyślności Stalina i ośmielają się na własny sposób interpretować marksistowską biblię. Muszą zginąć na stosie, bo nie stali się bezdusznymi automatami, ślepo wykonującymi rozkazy „wielkiego brata”.

POTWORY IDEAL

To jest bowiem ideał, do którego zmierza komunistyczne państwo totalitarne. Każdy człowiek ma się stać czymś w rodzaju towarzysza Ogilvy, typowego obywatela Oceanii. Pisze o nim Orwell tak:

„Mając trzy lata towarzysz Ogilvy odrzucał wszelkie zabawki za wyjątkiem bębna, pistoletu maszynowego i modelu helikoptera. Mając lat cztery — o rok przedwcześnie, za specjalnym zezwoleniem — przystąpił do Szpiegów; mając lat 9 był dowódcą oddziału. Mając lat 11 zademonstrował Policji Myśli swego wuja, podchuchawczy rozmowę, która — jak mu się wydawało — kryła w sobie zbrodnicze tendencje... W wieku lat 19 wymyślił granat ręczny, który przy pierwszej próbie w Ministerstwie Pokoju zabił za jednym zamachem 23 jeńców eurazjatyckich. W wieku 23 lat zginął na polu chwały... Był totalnym abstynentem, nie palił i słułował celibatem... Nie miał innego celu w życiu jak tropić szpiegów, sabotażystów, zbrodniarzy myślowych i w ogóle zdrajców”.

Nie ma w tym wiele przesady. Już dziś takich obywateli-robotów pragną wychować dyktatorzy komunistyczni. I jeżeli świat zachodni pozwoli im na dalsze kontynuowanie zbrodni przeciw ludzkości, które codzień popełniają, to na długo przez rok 1984 życie na tym globie stanie się nie do zniesienia.

ALEKSANDER BORAY

SKŁADKA NA OŚWIATĘ SPK

Przegląd prac dokonanych w ubiegłej kadencji, przeprowadzony na dorocznym zjeździe Stowarzyszenia Polskich Kombatanów, wykazał, że w dziedzinie pracy kulturalno-oświatowej Stowarzyszenie czyni stałe postępy. Stwierdzono jednak równocześnie, iż na intensywne prowadzenie tej akcji nie ma wystarczających środków materialnych ani w Oddziałach, ani w Centrali.

Zdając sobie sprawę, iż w obecnej sytuacji finansowej emigracji można liczyć tylko na własne siły, Rada Główna SPK na zjeździe w maju br. uchwaliła zwrócić się do wszystkich członków Stowarzyszenia z apelem o złożenie jednorazowego datku w kwocie jednego szylinga, względnie równowartości tej kwoty w innych walutach, na cele kulturalno-oświatowe.

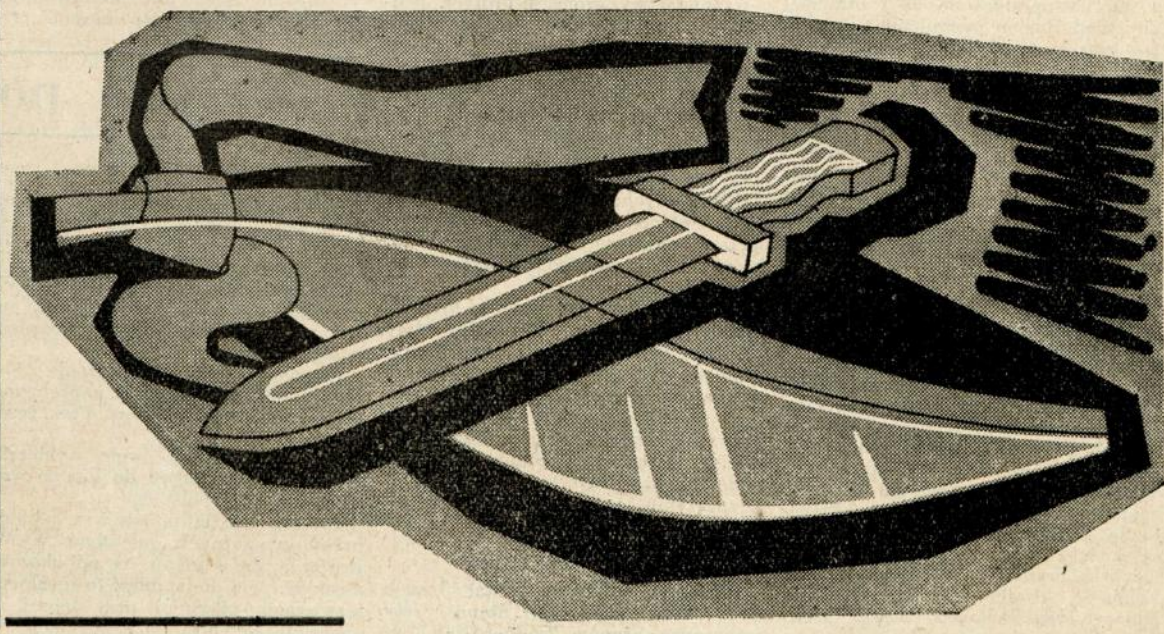
Zarząd Główny rozesłał już ulotki propagandowe i znaczki zbiorcze do Oddziałów tak, aby zbiórka, która trwać będzie — w zależności od warunków miejscowych — od 1-go sierpnia do 30-go września br. można było odpowiednio przygotować i nasylić około 15-go sierpnia, kiedy obchodzić będziemy tradycyjne „Święto Żołnierza”.

Dzień ten przynosić wspomnienia wspaniałego zwycięstwa odniesionego w roku 1920 pod Warszawą, powinien zjednoczyć wszystkich Kombatanów w poczuciu konieczności wypełnienia jednego ze statutowych nakazów organizacji: pracy nad zachowaniem i pomnożeniem kultury polskiej.

Półowa kwoty uzyskanej ze zbiórki przeznaczona jest w myśl uchwały Rady Główniej z maja br. na zaspokojenie lokalnych potrzeb Oddziałów w dziedzinie oświaty. Druga połowa, którą administrować będzie Centrala, zostanie użyta na zwiększenie akcji wysyłki książek i wydawnictw materialów oświatowych tak bardzo potrzebnych we wszystkich krajach polskiego osiedlenia.

Akacja zbiórkowa, przeprowadzana po raz pierwszy w tej formie we wszystkich komórkach organizacji jest wprawdzie imprezą o charakterze wewnętrznym, spodziewać się jednak można, że w rozumieniu ważności celów, których realizację składka ma umożliwić, wezmą w niej udział także przyjaciele nasi, sympatycy oraz wielu ludzi dobrej woli.

ZARZĄD GŁÓWNY SPK



Ostatni rok

W lipcu br. w Londynie odbywają się ostatnie egzaminy wstępne do Szkoły Architektury PUC — za pięć lat t.j. w roku 1954 wyjdzie z niej o s t a t n i a seria świeżo upieczonych architektów. Tak zostało postanowione.

* * *

Jakkolwiek za wsześnie jeszcze na ostateczne wspominki, bo w chwili obecnej Szkoła pracuje na pełnych obrotach, niemniej już nawet teraz można mówić o pewnym dorobku, którego nie należy się wstydić.

Rok temu, w lipcu, odbyła się w lokalu PUC, Londyn, 7, Cromwell Rd. doroczna wystawa prac studenckich, która cieszyła się dosyć dużą frekwencją zwiedzających i szereg poświęconych architekturalnie czasopism angielskich zamieścił o niej przychylnie wzmianki. Dla zorientowania w ogólnym tonie fachowej krytyki przytoczę poniżej w wolnym przekładzie uwagi Astragala, czołowego recenzenta „The Architects' Journal”, zamieszczane w numerze tego czasopisma z dn. 5 sierpnia 1948 r. pod tytułem: „Polacy znowu górą”.

„Mniej więcej rok temu — pisał Astragal — sugerowałem na tym miejscu, wyłącznie na podstawie opublikowanych prac (wydawnictwo książkowe — Polish School of Architecture — przyp. M. C.), że szkoła prowadzona przez Polaków w Liverpoolu jest najlepszą w kraju. Standart naszych szkół wzrósł znacznie od tego czasu i wątpię czy to twierdzenie mogłoby być w dalszym ciągu usprawiedliwione, lecz niefortunnie opóźniona i w ostatnim dniu odbyła wizyta na wystawie Polskiej Szkoły Architektury na Cromwell Road pozostawiła mi przekonanie, że jest ona w dalszym ciągu przynajmniej jedną spośród przodujących na tym polu”.

„Standart prezentacji i ujęcia technicznego jest tak wysoki, zrozumienie historii i tradycji tak dogłębne, wyuczucie bogactwa i napięcia dramatycznego tak pełne siły — jak tylko kiedykolwiek mogłoby być i chociaż te jakości, to prawda, czasami wydają się przejaskrawione, graniczą z bombastycznością, jest naprawdę pokrzepiające widzieć prace studentów, którzy, jak to wskazują ich wakacyjne szkice, nie obawiają się atakować „trudnych” budynków, jeżeli są pobudzeni do tego rzetelnym zainteresowaniem”.

NASZE MOŻLIWOŚCI

Ażby nie popaść w zbytnią zarumianłość z powodu tak szczodrych wyrazów uznania, należy zauważyć na tym miejscu, że recenzent ocenia pozytywnie nie tylko pewne osiągnięcia wypracowane przez polskich adeptów architektury, ale zwraca także słuszną uwagę na pewne wrodzone im predyspozycje. Oczywiście nie są one bezpośrednio niczym zasługą, niemniej dają nam przy starcie pewną przewagę nad naszymi gospodarzami i warto sobie z tego zdawać sprawę.

O tych wrodzonych cechach dominujących u polskich studentów architektury wspomina również prof. L. B. Budden, pryncypał powszechnie szanowany.

„SITWA”

Najnowszy tom „Sitwy” obejmuje lata 1945—1948. Jest to wydawnictwo 5 Zgrupowania Wileńskiej Brygady Piechoty Żubrów 5 Kresowej Dywizji Piechoty. (Skład główny: „Veritas”, Londyn).

Treść zeszytu obfita i różnorodna, od spraw najszerzych, jak np. sprawy „Międzymorza”, poprzez ogólnopolskie, jak programy ideowe, wychowanie młodzieży, wspomnienia z walk AK, do spraw wewnętrzno-oddziałowych, koleżeńskich żołnierzy malowniczo nazywających się baonów: Rysiów, Żbików, Wilków i in. oddziałów.

Szata zewnętrzna imponująca; jest to właściwie albumowe wydanie, na poziomie 2-korpusznego luksusu z czasów włoskich. Zeszyt jest bogato ilustrowany, układ staranny i estetyczny. Jedynie czcionka miejscami szwankuje — lepiej było zrezygnować z tłustego druku.

Ostatnio wydana „Sitwa” będzie niewątpliwie miłą i cenną pamiątką dla każdego żołnierza Dywizji, ale i postronny czytelnik znajdzie interesujące rzeczy. Ciekawe są np. materiały ilustrujące nastroje żołnierzy w okresie powołania do życia PKPR, a także opisy niektórych krajów „Międzymorza” z czasów wojny i po wojnie.



nowanej Szkoły Architektury przy Uniwersytecie Liverpoolskim. Są to: żywa wyobraźnia, łatwość „myślenia przestrzennego” i wreszcie temperament twórczy.

Cechy te łącząc z przyniesionym z Kraju zamilowaniem do nieskrępowanej jakikolwiek bądź dogmatyzmem swobody myśli w zakresie studiów uniwersyteckich składają się na to, że Polska Szkoła Architektury nie tylko produkuje dobrych specjalistów budowlanych, lecz wnosi na teren brytyjski pewne wartości artystyczne oryginalne i cenne.

TROCHĘ DAT I CYFR

Polska Szkoła Architektury została powołana do życia dekretem Prezydenta Rzeczypospolitej we wrześniu 1942 roku i rozwija swoją działalność naukową korzystając z gościnności Uniwersytetu Liverpoolskiego na pracach jednego z jego wydziałów. W dwóch pierwszych latach studiów studenci korzystają częściowo z wykładów angielskich, na wyższych latach pełny kurs nauczania jest w rękach wykładowców polskich, przy czym zakres i poziom nauczania dostosowany jest do poziomu politechnik polskich i do warunków technicznych pracy w Kraju.

Do 1946 r. kończy szkołę 52 inżynierów-architektów z dyplomami wydanymi na podstawie ustawy o szkołach akademickich z dn. 15 marca 1933 r.

We wrześniu 1946 szkoła zostaje przeniesiona do Londynu i następnie wcielona jako jeden z wydziałów do Polish University College. Program szkoły zostaje przystosowany bardziej do wymagań brytyjskich a okres studiów przedłużony o rok.

Następna partia 12 nowych inżynierów-architektów opuszcza szkołę w lecie 1948 roku i zostaje szybko wchłonięta przez miejscowy rynek pracy. Powagi brytyjskiego świata architektonicznego prof. W. G. Holford i prof. D. R. Aberdeen wyrażają się z dużym uznaniem o poziomie prac dyplomowych.

Obecnie studiuje w Szkole Architektury na pięciu latach 163 studentów, oraz przewiduje się przyjęcie ostatniej serii 30. Zakładając zgodnie z aktualnymi informacjami, że działalność szkoły zamrze w 1954 roku, należy przypuszczać, że w rubryce jej aktywów można będzie wpisać wówczas około 250 wyprodukowanych architektów. Stanowiłoby to około 10% ogólnej liczby architektów praktykujących w Polsce przed wojną.

Na przekór zawodowym malkotantom pozycję tę trzeba chyba zaliczyć na plus działalności emigracyjnej.

W NOWYM LOKALU

Podwóch i pół latach gnieźdzenia się na spółkę z Wydz. Ekonomii w ciastym budynku przy Cadogan Gardens, Szkoła Architektury uzyskała nareszcie „wspaniały” lokal przy 21, Princes Gate, S.W.7. Z okien sal wykładowych, które muszą służyć równocześnie jako kreslarnie, otwiera się rozległy widok na napszone świeżą zielenią obszary parkowe. Dużo światła, względnie wygodny rozkład pomieszczeń — ale miejsca w dalszym ciągu trochę brak.

Przygotowanie do zawodu architekta bazuje się na ćwiczeniach praktycznych, na rozwiązywaniu szeregu problemów architektonicznych uszeregowanych w odpowiedniej kolejności. Aby praca studenta była w pełni wydajna, należało by mu stworzyć w kreslarni standart warunków odpowiadających w przybliżeniu warunkom w przeciętnym biurze, a to wymaga dużo miejsca. Zabrakło go na czytelnik, na salę rysunku odrębnego, na kantinę i w kreslarniach jest może nieco za ciasno — niemniej jest duży postęp w stosunku do tego co było.

Oczywiście ćwiczenia praktyczne nie wyczerpują bynajmniej całego zakresu nauczania, który obejmuje również wykłady z szeregu przedmiotów teoretycznych. Od architekta wymaga się na ogół dosyć wszechstronnej wiedzy. Pierwszy ze znanych teoretyków architektury, Witruwiusz, uważał, że architekt winien być biegły w bardzo różnorodnych umiejętnościach, jak czytanie, pisanie, rysowanie, geometria, perspektywa, arytmetyka, historia, filozofia, muzyka, medycyna, prawo i astronomia!...

Na gruntowne opanowanie tak obszernego zakresu wiedzy w obecnym stadium jej rozwoju potrzeba by było zapewne zbyt długiego okresu czasu. Toteż współczesny program nauczania ogranicza się do przedmiotów bardziej bezpośrednio związanych z wykonywaniem zawodu architekta i jest ułożony w ten sposób, aby przeciętnie uzdolniony student mógł go wykonać w przeciągu 5 lat.

I tu trzeba znowu podkreślić z uznaniem, że wbrew tradycjom „wyczyszczonych” studiów na politechnikach krajowych przed wojną, wszyscy studenci Szkoły Architektury, z bardzo nielicznymi tylko wyjątkami, odbywają swoje studia zgodnie z przepisnymi terminami.

ZBIGNIEW CZECH

Gdy człowiek opanuje chmury...

Wizja szerokich łąk pszenicy i sadow kwitnących na bezbrzeżnych, nie tyle jałowych, co suchych obszarach Sahary fascynowała od dawna słachetnych marzycieli i techników obdarzonych fantazją. Dziś, w rozpoczynającym się wieku atomowym, wizja ta wydaje się znacznie bliższą realizacji.

Nie ulega już kwestii, że przy zastosowaniu energii rozbitego jądra atomu człowiek będzie mógł — w mniejszym lub większym stopniu — regulować pogodę. Trudność polega na wynalezieniu metod taniego wydobycia energii atomowej. Znaleźcień tych sposobów jest kwestią czasu.

Przskoczmy na moment tych kilka czy kilkadziesiąt lat i posłuchajmy, jakie dobrodziejstwa w dziedzinie meteorologii przyniesie masowa produkcja taniej energii atomowej.

Punktem wyjścia w tych rozważaniach są skromne, ale konkretne osiągnięcia w walce z pogodą w olbrzymich sadow na Florydzie i w Kalifornii. Miliony owoców ratuje się tam corocznie przez użycie sztucznego ogrzewania wielkich stosunkowo przestrzeni za pomocą ciepłego, gęstego dymu, wyrzucanego ze specjalnych, rozstawionych wśród drzew ogrzewaczy. Oczywiście zabiegi te stosowane są tylko w ciągu niewielu krytycznych dni zimniejszej pogody. Otóż przy pomocy energii atomowej podobne sposoby, i to bez przykrego dymu, będzie można zastosować na nieporównanie większą skalę.

Amatorzy sportu i wielkich sportowych zawodów, a zwłaszcza miłośnicy piesków i gracie poolowi, drżący z niecierpliwości jak wypadnie spotkanie „Cristal P.” z „Bristolem C.” nie będą w przyszłości niespokojnie spoglądać w okno w obawie, czy aby pogoda dopisze. Atomowe instalacje ogrzewające na stadionach będą w stanie z łatwością odpędzić każdy deszcz, który by chciał przeszkodzić w rozegraniu emocjonującego spotkania. W chłodne, siąpiące deszczem dni jesieni albo wiosny potężne generatory atomowe ogrzewać będą boiska, graczy pochłoniętych kopaniem piłki i graczy liczących stawki postawione na tamtych.

Ale to jeszcze nie wszystko. Wytężmy trochę imaginację opartą na faktach naukowych i na początkowych osiągnięciach technicznych. Autor „The Atomic Revolution” Robert D. Potter przewiduje, że ogrzewając niektóre prądy morskie będzie można zmienić klimat wielkich połaci naszego globu. Nie bierze się obecnie pod uwagę usiłowań zmierzających do zmiany temperatury tak wielkich prądów morskich jak Golfström lub Prąd Japoński na Pacyfiku. Uwagę uczonych skierowały dwa mniejsze, ale ogromnie przykre, bo zimne prądy morskie.

Pierwszy przepływa przez Cieśninę Tatarską, położoną pomiędzy rosyjskim wybrzeżem Syberii a wyspą Sachalin, która znajduje się obecnie pod okupacją amerykańsko-sowiecką. Wielkie masy lodowatej wody spływają tym wąskim przesmykiem do Morza Japońskiego ochładzając do tego stopnia brzeg i ląd azjatycki, że wielki port Władywostoku zamara na wiele miesięcy.

Drugi interesujący badaczy atomowych prąd morski przepływa cieśniną Belleisle, oddzielającą amerykański półwysp Labrador od Nowej Fundlandii. Przez ten przesmyk morski płynie wielkie odgałęzienie prądu labradorskiego, oziębiające wybrzeża i wnętrza Nowej Anglii i czyniące klimat tej części Kanady bardzo łagodnym w ciągu gorących miesięcy letnich, ale za to zbyt mroźnym w zimie.

Od wielu lat liczni inżynierowie rozważali możliwości zatamowania tych dwóch prądów i skierowania ich w inne strony: nurtu płynącego przez cieśninę Tatarską w kierunku Wysp Japońskich, a zimnych wód labradorskich — bardziej na południe, w ten sposób, aby omijały zatokę Św. Laurentego. Panowało nawet przekonanie, że Rosja planowała zasypianie przesmyku Tatarskiego i to było jedną z głównych przyczyn wojny z Japonią w roku 1905.

Nie ulega kwestii, że tego rodzaju rozwiązania powodowałyby poważne komplikacje natury politycznej. Wiedza atomowa obiecuje wyeliminowanie przeszkód tego rodzaju. W przyszłości, gdy energia atomowa będzie tania, z łatwością będzie można ogrzewać oba wymienione prądy morskie i w ten sposób zmienić klimat wielkiej połaci Kanady i ogromnych obszarów Syberii, uwalniając Władywostok od skuwających go lodów. Nie skrzywdziłoby się w ten sposób Japonii, która — w przypadku zasypiania przez Rosjan cieśninę Tatarską — musiałaby przysłać na swoje wyspy napór lodowatego prądu i zmienić się w kraj bardzo nieprzyjemny, niewiele cieplejszy od dzisiejszej Syberii.

Zadnych komplikacji międzynarodowych nie będzie wywoływać lokalne regulowanie deszczów. Teoretycznie proces ten polegać ma na ogrzewaniu powietrza w określonych miejscach przy pomocy potężnych „pieców atomowych”. Nagrzane powietrze wznosić się będzie według znanych praw fizycznych i absorbować wielkie ilości wilgoci. Wiadomo mianowicie, że w wielu wypadkach masy powietrza działają jak olbrzymia gąbka, wssysając parę wodną. Temperatura sztucznie nagrzanego powietrza obniżać się be-

dzie w miarę wznoszenia się w górę i po osiągnięciu pełnego nasycenia parą wodną nastąpi opad sztucznego deszczu ze sztucznie wytworzonej chmury.

Ten system byłby wystarczający do spowodowania deszczu w dowolnej okolicy, gdyby nie fakt, że w okresach wielkich susz powietrze zawiera zbyt mało wilgoci, która mogłaby być wessana w sztucznie tworzoną chmurę. Ale jest na to rada.

Eksperti atomowi przewidują mianowicie instalowanie potężnych ogrzewaczy atomowych w różnych zbiornikach wód naturalnych — w jeziorach, rzekach, zatokach morskich. W ten sposób byłaby produkowana para wodna, która następnie — przy pomocy wyżej opisanego procesu — zbierana byłaby w chmury w celu obdarzenia deszczem potrzebujących go terenów. W ten sposób można by — przynajmniej tak sądzą dziś uczeni — zmienić klimat nawet takich suchych obszarów globu jak Sahara.

Stworzenie sztucznego systemu ciepłych prądów powietrznych mogłoby z drugiej strony zapobiegać deszczom w tych okolicach, gdzie są one szkodliwe. Zadanie to teoretycznie można

wykonać bez trudu, posiadając olbrzymie zasoby energii cieplnej. Chodzi po prostu o podgrzewanie deszczowej chmury, aby zamiast skraplać się w deszcz, absorbowala w dalszym ciągu parę wodną.

Nie trudno wyobrazić sobie taką sytuację, którą może ujrzymy niedługo na własne oczy. Siedząc sobie, przyjacielu, na werandzie w Podkowie Leśnej pod Warszawą i ciesząc się, że winogrona i brzoskwinie dojrzały ci tak pięknie (klimat w r. X będzie już ulepszony i będziesz miał własną winnicę w podwórzu). Ale oto daleko na horyzoncie dostrzegasz groźną gradową chmurę. Podchodzisz do aparatu telefonicznego, łączysz się z okręgową stacją atomową w Grodzisku i meldujesz, co się święci.

Tam otrzymali już i inne meldunki. Uruchamiają gigantyczne „kaloryfery atomowe”. Parę minut i oto podgrzana chmura jaśnieje zwolna, staje się łagodna jak baranek i odpływa w inne rejony nieba.

Choć wygląda to może trochę zbyt sielankowo, bynajmniej nie przekracza możliwości przyszłego atomowego świata. Kto dożyje — zobaczy.

d.f.



JERZY DOŁĘGA-KOWALEWSKI

Sny

Kwadratoszczęki Kurd

handlarz —
zaczepił mnie na rynku pod wieczór.
Było szaro. Duchy nocy wywalały wiatr.
Było dziwno. Skosił szarość i w dywan spadł —
gotąb.

Tajemniak meczet.

— Sprzedaj sny
Rozśmiałem się. ...
— Ile dasz?
I nagle chwycił dziecinny żal.
Te — z najpiękniejszych obrazków
puculowate anioły —
otwarty żalobny pochód:
szły — szły — szły —
wydane, zdradzone, już nie moje na zawsze —
SNY.

— Nie!
Uciąłem.

— Czemuż tak
namiętnie i od razu?

Spłoszony jękiem namazu
ptak —
białym skrzydłem klasnął ponownie w ciszę,
uleciał.
Pozostaliśmy sami:
ja z moimi — niesprzedanymi — snami
i on.

— Niedługo, rzekł, w swych wędrówkach po Europie
mój pan, wielki nabab,
poznał kraj, gdzie wśród lasów kolei zmiennych
najmilszą księgę porad
stanowi — egipski sennik.
Z podobnej filozofii
czas się leczć...
Sny — niebezpieczny balast,
brylanty w śmieciach podwórka.
Przetresz oczy, mój drogi,
i w tej rozpaczli porównań
obwieszysz się na sznurku,
bądź powiększysz, bez ciebie niemały, Bedlam.
Rozumiesz?

Zrozumiałem.
Sprzedałem sny.
I poszedłem.

Piosenka nieustępliwych

Wielkiemu Politykowi

My też mamy
w tej chwili — bezwładną rękę.
Przerzucamy,
jak ktoś pod Omdurmanem,
w lewą —
revolver?
Nie. Piosenkę.
Strzelamy strofą-pociskiem,
nim kule prawdziwe świgną.

Salutujemy najpierw
was:
ostrożność,
kalkulację,
rady,
zbożne zamiary.

W porę zjedzony obiad
i wypalone cygare.

Tra—ta—ta—ta.
Tra—ta—ta—ta.

Potem — swoje
nairne — trzydzieści lat,
przeciętną życia...
I cudze — siedemdziesiąt
bez marzeń.
A la bonheur!
Wy nam nie zazdroście,
my wam — także.

I — stary herb,
i piękny sztandar,
obcy, gdy — nasz,
gdy nasz nam sztorc potargal.
Powiecie znowu.

Salutujemy domy
całe —
w mieście,
i ludzi, uciążliwych
jeszcze.

Salutujemy — Przyjaźń,
Wierność —
niezgusle,
sojuszników jedynych:
nabitych karabinów, —
nie czyichś —
w l a s n y c h.

I — rękę, choć bezwładną —
chwilowo.

Tra—ta—ta—ta.
Tra—ta—ta—ta.

I — SŁOWO,
któreśmy kiedyś dali,
a które, żywi czy zmarli,
zawsześmy — DOTRZYMALI.

Tra—ta—ta—ta...

